

Bóg
w WIELKIM
mieście



Bóg
w WIELKIM
mieście

Katarzyna Olubińska
Wydawnictwo WAM

Moin
Dziadkom

The text "Moin Dziadkom" is written in a blue, cursive script. It is flanked by two decorative green leafy branches, one on the left and one on the right, which curve around the text.

Bóg, który
słyszysz nasz
krzyk

*Bo góry mogą przeminąć i wzgórza mogą się
zachwiać, lecz moja łaskawość
nie przeminie i moje przymierze pokoju
się nie zachwieje! – mówi PAN,
który obdarza cię miłością.
(Iz 54, 10)*



Moim ulubionym serialem był od zawsze *Seks w wielkim mieście*. Sukces, niezależność, romanse, piękne szpilki i dobra zabawa – takie życie długo mi imponowało. Chciałam być jak Carrie Bradshaw, którą w serialu gra Sarah Jessica Parker. Kiedy jednak spełniłam swoje marzenia, okazało się, że wcale nie daje mi to szczęścia. Prawdziwe szczęście dało mi dopiero spotkanie w wielkim mieście Pana Boga.

Jestem typową dziewczyną z małego miasta, która przeniosła się do Warszawy po studiach, chcąc za wszelką cenę spełnić swój sen o dziennikarstwie. Dokładnie pamiętam ten dzień, kiedy przyjechałam do stolicy. Stałam na Dworcu Centralnym z jedną torbą i z dumą patrzyłam na Pałac Kultury. Czułam się jak zdobywczyni świata. Miałam już wtedy za sobą kilka lat praktyk studenckich i regularnej pracy w zawodzie. Zawsze byłam pracowita, lubiłam się uczyć, miałam szczęście do ludzi i podobno nawet talent, sądziłam więc, że teraz to już tylko kwestia czasu, kiedy świat mnie pokocha. Rzeczywistość trochę zweryfikowała moje wyobrażenia. Okazało się, że w wielkim mieście jest więcej takich dziewczyn jak ja. Trzeba starać się jeszcze bardziej. Starałam się więc. W moim słowniku nie istniał zwrot: „Nie radzę sobie”. Pamiętam z tych lat ciężką pracę, ogromny wysiłek i przekonanie, że sama kreuję kształt swojego życia. Nie pamiętam, żebym chociaż raz odpuściła. Wszystkie święta, sylwestry i ważne wydarzenia z życia rodziny i przyjaciół spędziłam na dyżurach reporterskich, wyjazdowych nagraniach albo przygotowując się do wywiadu. W wieku dwudziestu kilku lat prowadziłam poranny program nadawany na żywo przez siedem dni w tygodniu, przeprowadzałam autorskie wywiady z autorytetami i gwiazdami, latałam po świecie, relacjonując takie wydarzenia jak gala rozdania Oscarów w Hollywood, a billboardy z moim wizerunkiem wisiały przy największych skrzyżowaniach

w Warszawie. Można powiedzieć, że osiągnęłam sukces i spełniłam swoje marzenia. Skutki uboczne? Życie w biegu, powierzchowne relacje, poczucie pustki. Ale kto by się przejmował takimi rzeczami? Świat należy przecież do zwycięzców. Tak wtedy myślałam. Zdarzało się, że lądowałam nocą u lekarza, bo z braku snu i jedzenia ciało odmawiało mi posłuszeństwa, ale nie zdarzyło mi się, żebym była nieprzygotowana do wywiadu albo – to już zupełnie nie do pomyślenia! – odmówiła dyżuru czy wyjazdu na nagrania. Byłam nie do zdarcia. Profesjonalizm i perfekcja stały się moim mottem życiowym, a ciężka praca i przekonanie o własnej sile – osobistą religią. Bóg nie był mi do niczego potrzebny.

Po co miałabym szukać Boga? Wychowałam się przecież w rodzinie wierzącej, znałam modlitwy, obchodziłam wszystkie święta, jak tradycja nakazuje. A kiedy raz w roku, przed świętami, szłam do spowiedzi, starałam się i mocno się skupiałam, żeby nie złamać żadnego zakazu aż do momentu przyjęcia komunii. Nie pójść do komunii w święta to trochę wstyd. Poza tym czego tu szukać, skoro w Warszawie na każdym rogu jest kościół, a w nim co tydzień tłumy smutnych ludzi w szarych swetrach i o szarych twarzach. Wśród nich ja. Co niedzielę przychodziłam na mszę. Niestety tylko ciałem. Duchem zawsze byłam gdzieś indziej. Obmyślałam nowy temat reportażu albo rozważałam zakup nowej pary butów. No, chyba że było dobre kazanie... Zawsze miło posłuchać, jak ktoś ładnie mówi, tak jak miło pójść do kina na dobry film, najlepiej taki clikwy, żeby się łezka zakręciła, żeby były emocje. Po dobrym kazaniu człowiek od razu czuje się jakoś lepiej. Generalnie jednak kościół kojarzył mi się z nudą i obowiązkiem. Bóg był dla mnie siwym panem z brodą, który siedzi gdzieś daleko na chmurze i z jakiegoś powodu nie pozwala na wszystko, co przyjemne. Za złamanie swoich zasad wtrąca do piekła. Może też ukarać za niechodzenie do kościoła,

więc lepiej chodzić. Zresztą, msza była świetną okazją, żeby się trochę wyciszyć i podczas smutnych śpiewów przemyśleć różne sprawy dotyczące najbliższego tygodnia. Byłam przekonana, że Bóg jest w tym czasie zbyt zajęty, aby zauważyć, że ktoś jest w kościele obecny tylko ciałem, jak ja. Sądziłam, że On interesuje się kimś ważniejszym, na przykład papieżem, ale z pewnością nie moimi sprawami. Chodziłam jednak do kościoła regularnie, bo z Bogiem lepiej nie zadzierać. Wiadomo, że są sytuacje, w których trzeba o coś poprosić – tak bardzo, bardzo, bardzo. W takich sytuacjach potrafiłam modlić się żarliwie i wznosić na szczyty pomysłowości: zrób dla mnie to, daj mi to, a ja w zamian też coś tam zrobię, na przykład nie będę jadła mięsa w piątek.

Tak wyglądał mój obraz Boga jeszcze kilka lat temu. Później nastąpił przełom, czas uczenia się wszystkiego od nowa, i wszystko się zmieniło. *Seks w wielkim mieście* zamieniłam na blog *Bóg w wielkim mieście*. Kiedy moja przyjaciółka z liceum Kamila, która zna mnie dobrze jak mało kto, usłyszała po raz pierwszy, że założyłam blog o Bogu, parsknęła śmiechem i przez dłuższą chwilę nie mogła się opanować.

Dzień, w którym wszystko się zmieniło, to była środa. Wielka Środa, bo był to Wielki Tydzień. Ludzie chodzili na rekolekcje, myli okna, przygotowywali się do świąt. Ja też się przygotowywałam, ale po swojemu: pojechałam do ośrodka SPA na Wzgórzach Dylewskich. Zawsze miałam słabość do SPA, w ogóle do dbania o siebie. Masaże, maseczki i poczucie, że wyglądam idealnie, działały na mnie kojąco (nadal zresztą za nimi przepadam, ale już nie są dla mnie ucieczką od życia). Podobnie było z zakupami. Wszędzie piętrzyły się stosy ubrań i butów. Zabiegi SPA i zakupy zapełniały pustkę w moim sercu. Dawały poczucie, że posiadam coś wartościowego, jestem piękna.

Jednak tego dnia w SPA żaden zabieg nie był w stanie sprawić mi radości. Od dawna już nie czułam się najlepiej. Na samo wspomnienie tamtego czasu robi mi się dziś słabo. Siedziałam w jacuzzi z poczuciem przeraźliwej pustki i ogarniającej mnie ciemności. Oczywiście na pozór wszystko było w porządku: dobra praca w telewizji, fajny chłopak, zakupy, wyjazdy do SPA i na egzotyczne wakacje, rodzina pękająca z dumy. Jednak w środku miałam pustkę i poczucie, że jestem nikim. To wszystko, co powinno dawać mi szczęście, nie dawało go. Jak to wytłumaczyć i komu? Nie wiedziałam i nawet nie próbowałam. Kiedy masz jakiś problem widoczny na zewnątrz, wszyscy się nad tobą litują, ale kiedy boli cię serce i dusza, nie masz co z tym zrobić. Powiedzą, że wymyślasz, że rozczulasz się nad sobą, że nie doceniasz tego, co masz. Zresztą to prawda. Nie umiałam się cieszyć. Zdarzały mi się pojedyncze momenty radości, ale zazwyczaj ciągle mi było mało. Zawsze coś było nie tak. Zawsze mogło być lepiej. Tamtego dnia w SPA poczucie niezrozumienia, samotności i bezsensu stało się nie do zniesienia. Co za wstyd – pomyślałam z niedowierzaniem – nie radzę sobie. Chciałam się zapaść pod ziemię. Pamiętam przerażenie tym odkryciem. Ja, zdobywczyni świata, nie radzę sobie! Niektóre sytuacje w życiu osobistym też zaczęły mi się wymykać spod kontroli. W moim ulubionym serialu było wiele odcinków, w których dziewczyny świetnie się bawiły w wielkim mieście, ale nie widziałam ani jednego, w którym miałyby z tego powodu jakieś wyrzuty sumienia, poniosły jakieś przykre konsekwencje. Dziwne. Mnie było przykro. Wydawało mi się, że wszyscy ludzie dookoła mnie zdradzają się i okłamują, że wszystko jest na sprzedaż, a ja, z moimi marzeniami o pięknej, czystej miłości, jestem jakimś średniowiecznym przeżytkiem.

W takim stanie siedziałam w jacuzzi w SPA na Mazurach, kiedy w głowie zaświtała mi myśl, że to wszystko winą Boga. Jakkolwiek śmiesznie to zabrzmiało, to właśnie w SPA, w Wielką Środę, siedząc

sama w strefie wellness i patrząc na smętne drzewa za szybą, z głębi serca zawołałam do Niego z pomieszaniem złości i nadziei, z całym bólem, samotnością i rozdarciem: „Jeśli Ty naprawdę jesteś, przyjdź do mnie i mnie uratuj! Już dłużej nie dam rady sama! Nie radzę sobie, słyszysz?!”. W odpowiedzi usłyszałam tylko szum drzew za szklaną ścianą luksusowego basenu i bulgotanie jacuzzi.

Zrezygnowana założyłam gruby szlafrok i w poczuciu beznadziei i braku sensu podreptałam do pokoju. Wtedy odezwał się mój telefon. Dzwoniła koleżanka: „Cześć Kasiu, tu Krysia. Może to zabrzmi trochę dziwnie, ale poczułam impuls, żeby do ciebie zadzwonić. Słuchaj, jestem na rekolekcjach, musisz tutaj przyjechać. To znaczy nie do mnie, tylko do mojej parafii. Codziennie w Wielkim Tygodniu odbywają się tutaj rekolekcje i wiem, że one są dla ciebie, że ty musisz tu przyjść”. Pamiętam, jak przeszły mnie dreszcze i nogi się pode mną ugięły. W końcu dziesięć minut temu pierwszy raz w życiu poprosiłam Boga o znak, a tu nagle taki telefon.

Pędziłam do Warszawy tak szybko, że ledwo pamiętam drogę. Serce biło mi szybciej. Co mnie tam spotka? Ciekawość aż paliła. Wpadłam do kościoła Świętego Ojca Pio na Kabatach mocno spóźniona, a tam czekało mnie kolejne zaskoczenie. Ksiądz Maciej Sarbinowski, salezjanin, który odprawiał mszę, mówił do zebranych coś o Duchu Świętym, który przyprowadził tu wiele zagubionych osób, i prosił o świadectwa. Zalała mnie fala gorąca, ale nie było szansy, żebym w ogóle podeszła do ołtarza. Za to inni ludzie zaczęli wychodzić na środek. Ktoś tam bąkał nieśmiało pod nosem, że nie był w kościele od dwudziestu lat, ale jakaś staruszka poprosiła go o przeprowadzenie przez ulicę, więc wszedł i po raz pierwszy jest mu tu dobrze. Ktoś inny powiedział coś w podobnym klimacie. Wszyscy tacy jak ja: „niedzielni katolicy”. Jakoś dotrwałam do końca tej mszy, a wtedy

znów niespodzianka: poczułam, że muszę iść do tego księdza po ratunek. Wyprułam jak szalona w jego kierunku i ciągnąc go za rękaw, powtarzałam: „Niech mi ksiądz pomoże!”. On, trochę zaskoczony, próbował zrozumieć, co się stało i co właściwie może dla mnie zrobić. Za nic nie potrafiłam mu wytłumaczyć, co mi jest, i tak naprawdę sama nie do końca rozumiałam. Cała się trzęsłam. Czułam się tak, jakbym miała umrzeć – i w pewien sposób tego wieczoru umarłam, to znaczy narodziłam się do nowego życia.

Ksiądz Maciej zaczął się nade mną modlić. Odepchnęłam go. Modlitwa aż parzyła. Nie pamiętam, co działo się później, ale po chwili ocknęłam się na podłodze. Świetnie – pomyślałam – jeszcze do tego wszystkiego zemdlałam. Zauważyłam jednak, że czuję się uspokojona. Ustało kołatanie serca i ta dziwna panika. Leżałam na zimnej posadzce, a ksiądz Maciej klęczał obok i pytał, czy już wszystko w porządku. Dopiero później dowiedziałam się, że to, co właśnie przeżyłam, nazywa się spoczynkiem w Duchu Świętym i jest widzialnym znakiem działania Pana Boga. W ten sposób Bóg mi pomógł. Złapał mnie za rękę, kiedy już spadałam w przepaść. Odpowiedział tak szybko i tak mocno, jakby od lat czekał tylko na moje wołanie.

Po tym wieczorze nie wszystko zmieniło się od razu, ale pierwszy raz w życiu namacalnie poczułam obecność Boga, który słyszy mój krzyk i się mną interesuje. Tego wieczoru On mocno chwycił mnie za rękę. Nie wiedziałam jeszcze, że rekolekcje, na które przyjechałam, nazywają się *Talitha kum*, czyli w dosłownym tłumaczeniu „Dziewczynko, mówię ci, wstań”. Te słowa w Biblii wypowiada Jezus do umarłej właśnie córeczki Jaira, przywracając ją do życia. To ja byłam córeczką Jaira. Ja byłam w środku martwa. Pozornie żyłam pełnią życia, ale tak naprawdę nie miałam go w sobie. Kiedy myślę o tym teraz i widzę, jak Pan Bóg mnie zmienił, nappełnił nieznanym dotąd

pokojem i uleczył, czuję niewyobrażalną wdzięczność. Zobaczyłam swoje życie w nowym świetle jak w tej obietnicy: „I dam wam serce nowe i ducha nowego tchnę do waszego wnętrza, odbiorę wam serce kamienne, a dam wam serce z ciała” (Ez 36, 26). Nie chcę już więcej żyć bez Niego. Nie wyobrażam sobie, co by się ze mną stało, gdyby nie odpowiedział wtedy na moje wołanie...



